

William King

Geheimnisnacht

przekład : Marek Urbański

S&C

Exlibris

– Przeklęci niech będą wszyscy woźnice z ludzkiego plemienia razem ze swymi kobietami – wymamrotał Gotrek Gurnisson, dodając do tego stosowną klątwę w języku krasnoludów.

– Naprawdę musiałeś obrażać Panią Izoldę? – spytał Feliks Jaeger z wyraźną irytacją. – Powinniśmy być szczęśliwi, że nas nie zastrzelili. O ile za szczęście można uznać perspektywę noclegu w borze Reikwald w wigilię Geheimnisnacht.

– Zapłaciliśmy za przejazd i mieliśmy takie samo prawo siedzieć wewnątrz dyliżansu, jak i ona. Ci woźnice to parszywi tchórze – stwierdził Gotrek. – Nie chcieli ze mną uczciwie walczyć, twarzą w twarz. Nie dbam o to, że ktoś może nadziać mnie na ostrze, ale zostać zabitym z garłacza to nie jest odpowiedni dla Zabójcy Trolli rodzaj śmierci.

Feliks pokiwał głową. Zrozumiał, że krasnoluda ogarnia jedna z typowych dla niego fał paskudnego usposobienia. Spór z nim nie miałby w tej chwili najmniejszego sensu. Zresztą Feliks miał inne zmartwienie. Słońce właśnie zachodziło, nadając spowitej we mgłę puszczy krwawoczerwony odcień.

Wydłużone cienie płąsały tajemniczo, zmuszając pamięć do przywoływania wielu, zbyt wielu opowieści o kryjących się pod baldachimem drzew okropieństwach.

Feliks wytarł nos rąbkiem płaszcza z sudenlandzkiej wełny, potem owinął się nim szczelniej. Powąchał powietrze i spojrzał w niebo, na którym ukazały się właśnie księżyce Morrisleib i Mannsleib – mniejszy i większy. Morrisleib rozsiewał słabą, zielonkawą poświatę. Nie był to pomyślny znak.

– Czuję, że chwyta mnie gorączka – mruknął. Zabójca Trolli spojrzał na niego i zaśmiał się pogardliwie. Łańcuszek na jego twarzy wyglądał w

ostatnich promieniach zachodzącego słońca jak krwawy łuk biegnący od nosa do ucha.

– Jesteście słabą rasą – stwierdził. – Jedynym rodzajem gorączki, jaki odczuwam tego wieczora, jest gorączka walki. Huczy mi ona w głowie. – Odwrócił się i rzucił przeciągłe spojrzenie w głąb czarnej otchłani lasu. – Wyłażcie, małe bydlaki! – wrzasnął. – Mam dla was prezent.

Zaśmiał się donośnie i przeciągnął kciukiem po krawędzi ostrza swego ogromnego, podwójnego topora. Pocięła krew. Gotrek zaczął ssać skaleczony palec.

– Na łaskę Sigmara, siedź cicho! Kto wie, co w taką, jak ta noc może się tam czaić!

Gotrek spojrzał na niego. Feliks dostrzegł w jego oczach ogniki ślepej furii. Instynktownie położył dłoń na rękojeści miecza.

– Nie wydawaj mi rozkazów, człeczyno. Wywodzę się ze Starszej Rasy i choć jestem banita, tylko Królowi Spod Góry winienem posłuszeństwo. Feliks skłonił się sztywno. Dobrze wiedział, jaki użytek można zrobić z miecza. Blizny na jego twarzy dowód siły, że jako student walczył w niejednym pojedynku. Pewnego razu zdarzyło mu się nawet zabić człowieka, co położyło kres jego dobrze zapowiadającej się karierze akademickiej. Jednak myśl o walce z Zabójcą Trolli była co najmniej nierozsądna. Wprawdzie czubek nastroszonej jak grzebień czupryny Gotreka sięgał mu jedynie do piersi, lecz krasnolud był znacznie cięższy, a przeważającą większość jego masy tworzyły mięśnie. Poza tym Feliks miał okazję widzieć jak Gotrek posługuje się toporem.

Krasnolud uznał ukłon za formę przeprosin i ponownie zwrócił się w stronę ciemności. – Wyłażcie! – wrzasnął. – Stawię czoła każdemu

wyzwaniu, choćby wszystkie siły zła włóczyły się dzisiejszej nocy po lesie!

Krasnolud świadomie wprowadzał się w furję. W czasie, w którym przebywali razem, Feliks miał okazję zauważyć, że często po dłuższych okresach spokojnej zadumy u Zabójcy Trolli następowały krótkie wybuchy bezrozumnego szału. Była to jedna z tych cech krasnoluda, które Feliksa fascynowały. Wiedział, że Gotrek stał się Zabójcą Trolli, żeby odpokutować za jakieś zbrodnie. Złożył przysięgę, że będzie szukał śmierci w nierównej walce z potworami. Był zajadły do granicy szaleństwa i dotychczas pozostawał wierny złożonej przysiędze.

Prawdopodobnie, myślał Feliks, i ja oszalałbym, gdybym musiał żyć na wygnaniu, wśród obcych, którzy nawet nie należą do mojej rasy. Miał sporo sympatii dla tego szalonego krasnoluda. Wiedział dobrze, co to znaczy pod osłoną nocy uciekać z rodzinnego domu. Pojedynek z Wolfgangiem Krassnerem wywołał całkiem niezły skandal.

Teraz jednak wszystko wskazywało na to, że krasnolud zdecydowany był ściągnąć zguba na nich obu, a na to Feliks nie miał najmniejszej ochoty.

Wlókł się drogą, rzucając od czasu do czasu zaniepokojone spojrzenie na jasno świecące księżycy. Za jego plecami dalej trwała patetyczna tyrada.

– Nie ma wśród was wojownika? Chodźcie, posmakujcie mego topora, on łąknie krwi.

Tylko szaleniec może w Geheimnisnacht – Noc Tajemnicy – do tego stopnia kusić los i drażnić siły czające się w ciemnych otchłaniach lasu, pomyślał Feliks.

Do jego uszu dobiegł zaśpiew w szorstkim, gardłowym języku

Krasnoludów Górskich, potem znowu okrzyk "Dajcie mi tu godnego

przeciwnika!".

Na sekundę zapadła cisza. Skraplająca się, lodowata mgła spływała po czole. Gdzieś bardzo daleko cisza spokojnej nocy zmaćcił tętent galopujących koni. Co ten szaleniec narobił? – przemknęło Feliksowi przez głowa. Czyżby uraził jedną ze Starych Sił? Czyżby wysłano już po nas Upiornych Jeźdźców?

Zszedł z drogi w zarośla. Wstrząsnął się, gdy mokre liście drzew przylgnęły mu do twarzy. Ich dotknięcie przypominało dotyk palców trupa. Stukot kopyt przybliżał się z szaleńczą prędkością. Chyba tylko stworzenia nadprzyrodzone mogły tak na złamanie karku pędzić po krętej leśnej ścieżynie? Dobywając miecza czuł, jak trzęsą mu się ręce.

Głupotą było iść z Gotrekiem – pomyślał. – Teraz już nigdy nie skończy tego poematu. Coraz wyraźniej słyszał rzenie koni, trzaskanie bata i głośnie turkotanie kół.

– Dobrze! – wrzasnął Gotrek. Jego głos dobiegał gdzieś z tyłu. – Dobrze! Nagle rozległ się głośny ryk i obok przemknęły cztery ogromne, czarne konie zaprzężone do równie czarnego wozu. Feliks widział, jak rozpędzone koła dygocą w koleinach drogi, zauważył odzianego w czerń woźnicy. Skulił się pod osłoną krzaków.

Po chwili usłyszał zbliżające się kroki, zarośla rozchyliły się. Stał przed nim Gotrek, wyglądając bardziej dziko i szaleńczo niż kiedykolwiek. Jego grzebieniastą czupryna pokrywała gruba warstwa błota, wytatuowane ciało oblepione było jakąś brązową mazią, a nabijany ćwiekami skórzany kaftan rozdarty w kilku miejscach.

– Ci gówniarze próbowali mnie przejechać – ryknął. Idziemy za nimi! Zawrócili i szybkim krokiem pomaszerowali błotnistą ścieżką. Feliks

zauważył, że Gotrek nuci radośnie po khazalidzku.

Nieco dalej, przy drodze Bogenhafen, natknęli się na gospoda Pod Stojącymi Kamieniami. Przez szczelnie zamknięte okiennice nie przenikał najmniejszy promyczek światła. Ze stajni dobiegło ich rzenie, lecz gdy zajrzeli do środka nie zobaczyli tam powozu – ani czarnego ani jakiegokolwiek innego, lecz tylko kilka spłoszonych kucyków i wózek wędrownego handlarza.

– Powóz przepadł. Równie dobrze możemy zatroszczyć się o jakieś łóżko na noc – zauważył Feliks. Spojrzał z obawą na mniejszy z księżyców – Morrslieb. Chorobliwa zielona poświata nabrała mocy. – Nie lubię być poza domem przy takim złowrogim świetle.

– Jesteś słaby, człeczyno. I tchórzliwy.

– Tam będą mieli piwo.

– Z drugiej jednak strony, niektóre z twoich sugestii nie są pozbawione sensu. Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę, jak wodniste jest wasze, ludzkie piwo.

– Oczywiście – odparł Feliks. Gotrek nie dostrzegł ironii w jego głosie. Jakkolwiek gospoda nie była ufortyfikowana, jej mury były grube, a gdy spróbowali otworzyć drzwi, okazało się, że są mocno zaryglowane. Gotrek zaczął walić w nie drzewcem topora. Nie było odpowiedzi.

– Czuje zapach ludzi w środku – oznajmił. Feliks zdumiał się, w jaki sposób Gotrek może czuć cokolwiek poza własnym smrodem. Nigdy się nie mył, a włosy zwykł smarować zwierzęcym tłuszczem, żeby sterczały jak ognistorudy grzebień.

– Zabarykadowali się. Nikt nie wychodzi z domu w Geheimnisnacht,

chyba że jest czarownikiem lub czcicielem demonów.

– Czarny powóz jednak był na zewnątrz – odparł Gotrek.

– Jego pasażerowie nie mieli dobrych zamiarów. Okna były szczelnie zasłonięte, nie zauważyłem też herbu.

– Mam zbyt zaschnięte gardło, by dyskutować o szczegółach. Hej wy tam, otwierajcie drzwi, bo potraktuje je toporem!

Feliksowi zdawało się, że dosłyszał wewnątrz jakiś ruch. Przycisnął ucho do drzwi. Udało mu się rozróżnić szmer głosów i coś, co brzmiało jak płacz.

– Lepiej, żebyś się odsunął, człeczyno, jeśli nie chcesz, bym rozłupał ci głowę – oznajmił Gotrek.

– Chwileczkę. Hej, wy tam w środku. Do was mówię. Otwierajcie. Mój przyjaciel ma bardzo długi topór, ale bardzo krótką cierpliwość. Radzę wam: zróbcie co mówi, albo możecie pożegnać się z drzwiami.

– Krótką? Co to miało znaczyć? – zapytał urażony Gotrek.

– W imię Sigmara, odejdźcie precz demony z otchłani! – dobiegł ich piskliwy, drżący głos z wewnątrz.

– W porządku, bardzo dobrze – warknął Gotrek. – To mi wystarczy.

Topór zatoczył szeroki łuk. Feliks dostrzegł jak w świetle Morrslieba rozjarzyły się wyryte na jego ostrzu runy. Uskoczył w bok.

– W imię Sigmara! – krzyknął. – Egzorcyzmy na nas nie działają. Jesteśmy prostymi, znużonymi wędrowcami.

Topór uderzył w odrzwia z głuchym łomotem. Szczapy drewna posypały się na wszystkie strony. Gotrek odwrócił się do Feliksa i wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. Feliks zauważył, że kilku z nich brakuje.

– Kiepsko zrobione są drzwi tych ludzików – oznajmił.

– Radzę wam, otwórzcie, póki jeszcze je macie – zawołał Feliks.

– Czekajcie – odpowiedział trzęsący się głos. – Za te drzwi zapłaciłem Jurgenowi Cieśli całe pięć koron. Zdjęto rygiel i drzwi się otworzyły. Ukazał się w nich wysoki, chudy mężczyzna o smutnej, okolonej czarnymi włosami twarzy. W ręce trzymał solidną pałkę. Za nim stała stara kobieta z talerzykiem, do którego przymocowana była oblepiona zastygłym woskiem świeca.

– Twoja broń na nic ci się nie zda, panie. Chcemy jedynie noclegu – uspokoił go Feliks.

– I piwa – mruknął krasnolud.

– I piwa – zgodził się Feliks.

– Dużo piwa – dodał Gotrek. Feliks spojrzał na starego człowieka i wzruszył bezradnie ramionami. Wnętrze gospody stanowiła niska wspólna izba z szynkwasem, skleconym ze wspartych na dwóch beczkach desek. Trzech uzbrojonych mężczyzn o wyglądzie wędrownych handlarzy przyglądało im się bacznie z kąta. W rękach trzymali obnażone noże. Ich twarze ukryte były w cieniu, mimo to sprawiali wrażenie zaniepokojonych.

Karczmarz wepchnął ich do środka i ponownie zamknął drzwi na skobel.

– Ma pan czym zapłacić, Herr Doktor? – zapytał nerwowo. Feliks zauważył jak rusza mu się grdyka.

– Nie jestem profesorem, jestem poetą – odparł. Wyjął sakiewkę i przeliczył ostatnie złote monety. – Ale mam czym zapłacić.

– Jedzenia – zażądał Gotrek. – I piwa.

W tym momencie stara kobieta zalała się łzami. Feliks utkwiał w niej wzrok.



– Ta baba jest wyraźnie nie w sosie – zauważył Gotrek.

Stary człowiek skinął głową.

– Nasz Gunter nie będzie miał jedzenia ani piwa przez całą noc.

– Daj mi wreszcie tego piwa – warknął Gotrek. Karczmarz odszedł.

Gotrek wstał i podszedł do przyglądających mu się z napięciem handlarzy.

– Czy któryś z was wie cokolwiek o czarnym powozie zaprzężonym w cztery kare konie? – spytał.

– Widziałeś czarny powóz? – odpowiedział pytaniem jeden z przekupniów.

W jego głosie wyraźnie dźwięczał strach.

– Czy widziałem? To cholerstwo niemal mnie przejechało.

Mężczyźnie aż zaparło dech. Feliks usłyszał brzęk wypuszczanej z rąk miarki do piwa. Zauważył, że karczmarz pochylił się, żeby ją podnieść, potem zaczął ponownie napełniać kufel.

– Masz zatem szczęście – stwierdził najgrubszy z kupców. Wyglądał na człowieka, który cieszy się powodzeniem w interesach. – Powiadają, że tym powozem jeżdżą demony. Słyszałem, że przejeżdża tedy co roku w wigilie Geheimnisnacht. Niektórzy twierdzą, że wożą nim małe dzieci z Altdorfu, żeby złożyć je w ofierze w Pierścieniu Czarnego Kamienia.

Gotrek spojrzał nań z zainteresowaniem. Rozwój sytuacji zaczął się coraz mniej podobać Feliksowi.

– Z pewnością to tylko bajka – powiedział.

– Nie, panie – wykrzyknął gwałtownie karczmarz. Dwa lata temu Gunter odważył się wyrzec na zewnątrz i dostrzegł go – czarny powóz, dokładnie taki, jaki opisał pan przed chwilą.

Na dźwięk imienia "Gunter" staruszka znów wybuchła płaczem.

Karczmarz podał im potrawkę i dwa ogromne, gliniane kufle piwa.

– Podaj piwo również mojemu towarzyszowi – polecił Gotrek i gospodarz wyszedł po kolejny kufel.

– Kto to jest Gunter? – spytał Feliks, gdy karczmarz powrócił. Stara kobieta natychmiast podniosła lament. – Więcej piwa – polecił Gotrek. Karczmarz spojrział ze zdumieniem na puste kufle.

– Weź moje – zaproponował Feliks. – A zatem, mój panie kim jest Gunter?

– I dlaczego ta baba zaczyna wyć na sam dźwięk jego imienia? – dorzucił Gotrek, wycierając usta przeżartą brudem ręką.

– Gunter jest naszym synem. Wyszedł po południu, żeby narąbać drewno. Do tej pory nie wrócił.

– Gunter to dobry chłopiec – wtrąciła się staruszka. Jak sobie damy radę bez niego?

– Może po prostu zabłądził w lesie?

– Wykluczone – odparł karczmarz. – Gunter zna okoliczne lasy jak własną kieszeń. Powinien był wrócić już parę godzin temu. Obawiam się, że porwano go na sabat jako ofiarę.

– Zupełnie tak jak Ingrid, córkę Lotty Hauptmann odezwał się tłusty kupiec.

Gospodarz posłał mu mroczne spojrzenie.

– Nie życzę sobie żadnych plotek o narzeczonej naszego syna – powiedział.

– Niech ten człowiek mówi dalej – polecił Gotrek. Handlarz spojrział na niego z wdzięcznością.

– Identyczna historia zdarzyła się w ubiegłym roku, w Blutroch, niedaleko stąd. Frau Hauptmann zajrzała do swojej kilkunastoletniej córki Ingrid tuż po zachodzie słońca. Wydawało się jej, że słyszy dobiegający z jej pokoju

hałas. Dziewczyny nie było. Jakaś czarnoksiężka siła porwała ją z własnego łóżka i uniosła z zamkniętego na klucz domu. Nastopnego dnia rozpoczęto poszukiwania. Znalaziono ją. Była w okropnym stanie, cała pokryta sińcami. – Spojrzał na nich, jakby chcąc upewnić się, że wzbudził ich zainteresowanie.

– Pytałeś ją, co się zdarzyło?

– Tak jest, panie. Wygląda na to, że demony, dzikusy leśne, uprowadziły ją do Pierścienia Czarnego Kamienia, gdzie odbywał się sabat leśnych potępieńców. Chciano złożyć ją na ołtarzu ofiarnym, wyrwała się jednak z rąk porywaczy i przyzwała na pomoc dobre imię Sigmara. Uciekła, gdy zaczęto taniec. Ścigali ją, lecz nie udało im się jej dopaść.

– Szczęśliwy zbieg okoliczności – zauważył oschle Feliks.

– Nie ma pan z czego żartować, Herr Doktor. Po odnalezieniu drogi do kamieni trafiliśmy na różnorakie, odcisnięte w stratowanej ziemi ślady. W tym także ludzkie, zwierzęce oraz demonów o rozszczepionym kopycie. Na ołtarzu znaleźliśmy niemowlę wypatroszone jak prosię.

– Demony o rozdwojonym kopycie? – spytał Gotrek. Feliksowi bardzo nie spodobał się błysk zainteresowania w jego oczach. Handlarz przytaknął.

– Nie wybrałbym się tej nocy do Czarnego Kamienia nawet za całe złoto Altdorfu – dodał.

– Byłoby to wymarzone zadanie dla herosa – odezwał się Gotrek, spoglądając znacząco na mocno zaniepokojonego Feliksa.

– Nie myślisz chyba o...

– Czy może być lepsze zadanie dla Zabójcy Trolli niż stanąć twarzą w twarz z demonami podczas ich świętej nocy? To mogłaby być wspaniała śmierć.

– Byłaby to głupia śmierć – mruknął Feliks.

– Co powiedziałeś?

– Nic.

– Idziesz, prawda? – spytał Gotrek z odcieniem groźby w głosie. Potarł kciuk o ostrze swego topora. Feliks zauważył, że znów popłynęła z niego krew. Skinął głową potakująco.

– Przysięga jest przysięgą.

Krasnolud klepnął go po plecach z taką siłą, że Feliks miał wrażenie, iż pękają mu żebra. – Czasami sobie myślę, człowieczku, że w twoich żyłach musi płynąć krew krasnoludów. Co oczywiście nie znaczy, by w przeszłości ktokolwiek ze Starszej Rasy zniżył się do takiego mieszanego związku.

– Oczywiście – zgodził się Feliks, sprawdzając całość swych żeber.

Zaczął szperać w sakwie, poszukując kolczugi. Dostrzegł, że karczmarz, jego żona i kupcy przypatrują mu się bacznie. W ich oczach malował się przestach. Gotrek rozsiadł się przy ogniu, popijając i mamrocząc coś w języku krasnoludów.

– Czy rzeczywiście ma pan zamiar z nim iść? – wyszeptał gospodarz.

Feliks przytaknął.

– Dlaczego?

– Uratował mi kiedyś życie. Jestem jego dłużnikiem. Feliks uznał, że rozsądniej będzie przemilczeć okoliczności, w jakich Gotrek go ocalił.

– Wyciągnąłem tego człeczynę spod kopyt kawalerii Cesarza!

Feliks zaklął. Zabójca Trolli miał słuch jak dzikie zwierzę. To samo można powiedzieć o jego mózgu, pomyślał nakładając kolczugę.

– Tak jest. Ten człeczyna uznał za bardzo mądre zwrócić się ze swoją

sprawą do Cesarza, przedstawić mu petycję i urządzić marsz protestacyjny. Stary Karl Franz postanowił mu odpowiedzieć, całkiem zresztą rozsądnie, przy pomocy szarzy kawalerii.

Kupcy cofnęli się w popłochu.

– Powstaniec – wyszeptał jeden z nich.

Feliks poczuł, że krew napływa mu do twarzy.

– To był kolejny okrutny i niesprawiedliwy podatek. Sztuka srebra od każdego okna! Co gorsza wszyscy opaśli kupcy zamurowali swoje okna, a milicja włóczyła się po Altdorfie wybijając otwory w ruderach nędzarzy. Mieliliśmy prawo protestować.

– Za ujęcie powstańca wyznaczono nagrodę – odrzekł handlarz. – Wysoką nagrodę.

Feliks utkwiał w nim wzrok.

– Rzecz jasna, kawaleria cesarska nie stanowiła żadnego problemu dla topora mojego towarzysza – powiedział. – Co za jatki... Głowy, nogi, ręce porozrzucane wszędzie... On sam stał na całym stosie zwłok...

– Wezwali na pomoc łuczników – dorzucił Gotrek. Wycofaliśmy się wtedy boczną drogą. Zostać zakłutym na odległość byłoby nieprzyzwoitym rodzajem śmierci.

Tłusty kupiec spojrział na swoich towarzyszy, potem na Gotreka, następnie na Feliksa, po czym jeszcze raz na swoich kolegów.

– Rozsądny człowiek trzyma się z dala od polityki zauważył, adresując te słowa do człowieka, który mówił wcześniej o nagrodach. Spojrział na Feliksa.

– Bez urazy, proszę.

– Przez myśl mi to nie przeszło – odparł Feliks. – Ma pan całkowitą rację.

– Powstaniec, czy nie – odezwała się staruszka – niech Sigmar go błogosławi, jeśli zwróci mi mojego małego Guntera.

– On wcale nie jest mały, Lizo – zaprotestował karczmarz. – To krzepki młody dryblas. Mam nadzieję, że przywrócicie mi mojego syna. Jestem już stary i potrzebuję go, by rąbał drewno, podkuwał konie, dźwigał beczki i...

– Jestem pod głębokim wrażeniem twej rodzicielskiej troski, panie – przerwał mu Feliks.

Gotrek wstał i popatrzył na niego, po czym walnął się w pierś mięsistą łapą. – Zbroja to rzecz dla kobiet i zniewieściałych elfów – oznajmił.

– Chyba jednak będzie lepiej, jeśli ją założę. O ile oczywiście mam wrócić żywy wraz z opowieścią o twoich czynach, którą, poza wszystkim innym, przysiągłem napisać.

– Twoje na wierzchu, człeku. Poza tym pamiętaj, że to nie wszystko, co przysiągłeś uczynić. Jak możemy znaleźć Pierścień Czarnego Kamienia? – zwrócił się do karczmarza. Feliks poczuł, że zasycha mu w gardle. Tylko największym wysiłkiem woli powstrzymywał dłonie od drżenia.

– Prowadzi tam ścieżka, odchodząca od głównej drogi. Doprowadzę was do niej.

– W porządku – odparł Gotrek. – To zbyt ponętna okazja, by ją przepuścić. Tej nocy odkupię moje winy i wkroczę do Żelaznych Komnat mych ojców. Jeżeli taka będzie wola Wielkiego Grungniego.

Feliks podniósł swoją sakwę. Przy samym wyjściu staruszka zatrzymała go na chwilę i wcisnęła coś do ręki. – Proszę, panie. Weź to. To talizman Sigmara. On cię obroni. Mój mały Gunter ma taki sam.

– Niezbyt mu się przydał – niemal wymknęło się Feliksowi, lecz

powstrzymał go wyraz twarzy starej kobiety. Były tam strach, troska i nadzieja. Poczul się wzruszony.

– Zrobię co w mojej mocy, pani.

Na zewnątrz niebo jaśniało zielonym, czarodziejskim światłem księżyców. Feliks otworzył dłoń. Leżał w niej mały, żelazny młot na łańcuszku o drobnych ogniwach. Wzruszył ramionami i założył go na szyję. Gotrek i karczmarz byli już daleko w przedzie. Musiał podbiec, by ich dogonić.

– Jak myślisz, co to takiego? – spytał Gotrek, nachylając się nisko ku ziemi. Przed nimi ciągnęła się droga do Blutroch i dalej, do Bogenhafen. Feliks oparł się o słup milowy. Tu zaczynała się ścieżka. Miał nadzieję, że karczmarz dotrze bezpiecznie do domu.

– Ślady – odparł. – Prowadzą na północ.

– Bardzo dobrze, człowieczku. To są ślady powozu i kierują się na północ ku Pierścieniowi Czarnego Kamienia.

– Czarnego powozu?

– Mam nadzieję. Co za chwalebna noc! Zostały wysłuchane wszystkie moje modlitwy. Możliwość odkupienia grzechów i wzięcia odwetu na bydlakach, którzy niemal mnie przejechali – Gotrek zachichotał radośnie, ale Feliks wyczuwał zachodzącą w nim zmianę. Wydawał się wewnętrznie spięty, tak jakby przypuszczał, że zbliża się godzina przeznaczenia i że może być z nim niedobrze. Stał się dziwnie rozmowny.

– Powóz? Czyżby na ten sabat zjeżdżała się szlachta, człeku? Czyżby twoje Cesarstwo było aż tak zepsute? Feliks potrząsnął głową.

– Nie wiem. Może ich przywódca to szlachcic. Reszta to zapewne tubylcy. Powiadają, że piętno Chaosu głęboko wżarto się w tego rodzaju zapadłe

zakątki.

Gotrek po raz pierwszy w życiu wyglądał na poruszonego do głębi.

– Gotów byłbym zapłakać nad szaleństwem twego plemienia, człowieku.

Być zepsutym do tego stopnia, by władcy mogli zaprzedać się siłom ciemności, to musi być straszne.

– Nie wszyscy ludzie są tacy – odparł gniewnie Feliks. To prawda, niektórych pociąga łatwa do zdobycia potęga lub rozkosze cielesne, są oni jednak nieliczni. Większość ludzi zachowuje wiarę. Skądinąd i Starsza Rasa nie jest bez skazy. Słyszałem opowieści o zaprzędanych Niszczycielskim Siłom armiach krasnoludów.

Gotrek wydał z siebie niski, gniewny pomruk, po czym splunął na ziemię.

Feliks mocniej ujął rękojeść miecza. Zastanawiał się, czy nie posunął się zbyt daleko.

– Masz racje – odparł Gotrek miękko i chłodnym głosem. – Pamiętamy o tym. Ślubowaliśmy wieczystą wojna degeneratom, o których wspomniałeś i ich mrocznym patronom.

– To samo uczynił mój lud. Mamy swoich inkwizytorów i swoje prawa.

Gotrek potrząsnął głową.

– Twój lud niczego nie rozumie. Jest zniewieściały, zdegenerowany i żyje z dala od Wojny. Nie rozumie zła, które podkopuje korzenie świata i dąży do zagłady nas wszystkich. Inkwizytorzy, ba... – Splunął na ziemię. Prawa! Jest tylko jedna droga przeciwstawienia się groźbie Chaosu.

Potrząsnął wymownie toporem.

Z trudem przedzierali się przez las. Nad ich głowami febrycznie jarzyły się księżycy. Morrslieb stał się jeszcze jaśniejszy i jego zielony blask zalewał



całe niebo. Mgła gęstniała, teren był przygnębiający i dziki. Skały przezierały spomiędzy darni jak przebijające się przez skórę świata chorobliwe narośla.

Niekiedy Feliksowi zdawało się, że słyszy łopot skrzydeł, lecz gdy spoglądał w górę, dostrzegał jedynie poświatę nieba. Mgła kłębiła się i rozlewała na boki, sprawiając wrażenie, że idą po dnie jakiegoś piekielnego jeziora. Powietrze przesycone było zgnilizną, włosy na karku łaskotały nieprzyjemnie. Kiedyś dawno temu, gdy jeszcze był chłopcem, siedział w domu swojego ojca w Altdorf i obserwował jak niebo pokrywa się czarnymi, groźnymi chmurami. Skończyło się to najstraszliwszą burzą, jaką przeżył w życiu. Teraz miał podobne uczucie – wrażenie zbliżania się czegoś. Gdzieś w pobliżu gromadziły się potężne siły, był tego pewien. Czuł się jak owad wędrujący po ciele olbrzyma, który w każdej chwili może się obudzić i zetrzeć go w pył. Nawet Gotrek wyglądał na strapionego. Popadł w głębokie milczenie, nawet nie mamrotał do siebie, jak to miał w zwyczaju. Raz po raz przystawał, gestem nakazywał Feliksowi, by ten także się zatrzymał, po czym długo węszył powietrze. Feliks widział, że całe jego ciało napina się, jakby każdy z naprężonych nerwów starał się uchwycić choćby najmniejszy ślad. Potem ruszali dalej. Mięśnie Feliksa stężały z napięcia. Gorąco pragnął być zupełnie gdzie indziej. To jasne, powtarzał sobie, że moje zobowiązania w stosunku do krasnoluda wcale nie oznaczają, że mam się wystawiać na pewną śmierć. Zapewne udałoby mi się zniknąć niepostrzeżenie we mgle. Zacisnął zęby. Szczycił się tym, że jest człowiekiem honoru, a jego dług wobec krasnoluda był zupełnie oczywisty. Ryzykował życiem, żeby go ocalić. Co prawda wtedy Feliks nie wiedział, że Gotrek świadomie szuka śmierci, że

zabiega o nią jak mężczyzna o pożądaną kobietę. To jednak nie zmieniało faktu, że pozostawał dłużnikiem.

Przypomniawszy sobie hałaśliwe, pijackie wieczory w tawernach Labiryntu, gdzie zaprzysięgli sobie braterstwo krwi wedle dziwaczego rytuału krasnoludów i gdzie zgodził się pomagać Gotrekowi w jego poszukiwaniach.

Gotrek marzył o tym, by jego imię było pamiętane, a wieści o jego czynach przekazane potomnym. Kiedy dowiedział się, że Feliks jest poetą, zaproponował wspólną wędrówkę. Wtedy, w ciepłych promieniach pijackiej przyjaźni, wydawało się to znakomitym pomysłem a poszukiwanie własnej śmierci jawiło się Feliksowi jako wyborny materiał na epicki poemat, który miał uczynić go sławnym. Nie miałem najmniejszego pojęcia, myślał, że doprowadzi to do czegoś takiego. Polować na monstra w Geheimnisnacht! Uśmiechnął się ironicznie. Nietrudno śpiewać o bohaterskich czynach w tawernach i teatrach, gdzie grozę wyczarowują słowa barda. Co innego tutaj.

Czuł dziwną słabość, a przytłaczająca atmosfera tego miejsca budziła w nim przemożną chęć ucieczki z głośnym krzykiem. Co prawda, pocieszał się, ciągle jest to doskonały materiał na poemat. O ile przeżyje, by go napisać.

Las stawał się coraz gęstszy i bardziej splątany. Drzewa przybierały wygląd poskracanych, tajemniczych stworzeń. Feliks miał wrażenie, że uważnie mu się one przyglądają. Próbował pozbyć się tej myśli jako nierealnej, lecz mgła i upiorne światło księżyców rozpałały jedynie wyobraźnię. Czuł, że każdy obszar cienia roi się od potworów. Spojrzał na krasnoluda. Na jego twarzy zobaczył oczekiwanie i obawę. Do tej pory

Feliks sądził, że krasnolud jest całkowicie odporny na lek, teraz przekonał się, że nie była to prawda. Nieokiełznana wola wiodła go na spotkanie z przeznaczeniem. Czując, że jego własna śmierć może znajdować się o wyciągnięcie ręki, Feliks postanowił zadać pytanie, którego przez długi czas nie miał odwagi wypowiedzieć.

– Zabójco Trolli, co takiego uczyniłeś, że teraz musisz odbywać za to pokutę. Jaka zbrodnia pcha cię do wymierzenia kary samemu sobie?

Gotrek spojrział na niego, potem odwrócił głowę i utkwiał wzrok w ciemnościach.

– Gdyby jakikolwiek inny człowiek zadał mi to pytanie, zabiłbym go.

Czynie teraz wyjątek ze względu na twą młodość, niewiedza oraz rytuał przyjaźni, przez który obaj przeszliśmy. Zabijając cię stałbym się bratobójcą. Moja zbrodnia była straszliwa. Nigdy o takich zbrodniach nie mówimy.

Feliks nie przypuszczał, że krasnolud jest aż tak do niego przywiązany.

Gotrek spojrział nań tak, jakby oczekiwał odpowiedzi.

– Rozumiem – odrzekł.

– Rozumiesz, człowieczku? Naprawdę rozumiesz? Głos Zabójcy Trolli był szorstki jak trzask kruszonych kamieni. Feliks uśmiechnął się smutno. W tym momencie dostrzegł przepaść, jaka dzieli człowieka od krasnoluda. Nigdy nie zrozumie ich dziwacznych tabu, ich obsesyjnego stosunku do przysięg, rozkazów i dumy. Nie dowie się co pcha Zabójca Trolli do wykonania wydanego na siebie wyroku śmierci.

– Twój lud jest zbyt okrutny wobec samego siebie powiedział.

– A twój zbyt pobłażliwy – brzmiała odpowiedź. Zapadła długa cisza, z której obu wyrwał cichy, obłąkany śmiech. Feliks odwrócił się, dobył

miecza i stanął w pozycji obronnej. Gotrek uniósł topór. Coś wyłoniło się z mgły. To kiedyś był człowiek, pomyślał Feliks. Wciąż można było dostrzec ludzki kształt w tej dziwnej sylwetce. Wyglądała tak, jakby jakieś oszalałe bóstwo trzymało ją w pobliżu demonicznego ognia, aż stopiła się i obciekła, a potem zakrzepła w tej nowej, obrzydliwej postaci.

– Tej nocy będziemy tańczyć – powiedziała postać wysokim, ostrym głosem, znamionującym najczystsze szaleństwo. – Tańczyć i dotykać się. Łagodnie wyciągnęła rękę w kierunku Feliksa jakby chciała go pogłaskać. Cofnął się przerażony, gdy podobne pąkowi glist palce zbliżyły się do jego twarzy.

– Tej nocy, przy kamieniu, będziemy tańczyć, dotykać się i pieścić. Uczyniła gest, jakby chciała go wziąć w objęcia. Uśmiechnęła się, ukazując krótkie ostre zęby. Feliks stał spokojnie. Czuł się jak obserwator przyglądający się z niewielkiej odległości zachodzącym wypadkom. Cofnął się i skierował ostrze miecza w stronę piersi tego czegoś, co się do niego zbliżało.

– Nie podchodź bliżej.

Postać uśmiechnęła się. Usta otwierały się, ukazując rzędy małych, ostrych ząbków. Wargi rozchyłały się coraz bardziej, aż w końcu cała dolna część twarzy przekształciła się w wilgotne, błyszczące dziąsło, a szczeka opadła w dół jak u węża. Wparła się w ostrze miecza, krople krwi załśniły na jej piersi. Zaśmiała się bulgocącym, idiotycznym chichotem.

– Tańczyć i dotykać, i pieścić, i jeść – powiedziała, po czym z nieludzką szybkością wymknęła się spod miecza i skoczyła ku Feliksowi. Zabójca Trolli okazał się jednak szybszy. W połowie skoku jego topór dosięgnął jej karku.

Głowa potoczyła się w mrok; trysnęła w górę czerwona fontanna.

– Co to było? Demon? – spytał Gotrek. Feliks czuł podniecenie w jego głosie.

– Myślę, że to coś było kiedyś człowiekiem – odparł Feliks. – Jednym z napiętnowanych, naznaczonych przez Chaos. Porzuca się ich zaraz po urodzeniu.

– Znał twój język.

– Niekiedy piętno ukazuje się dopiero w starszym wieku. Krewni myślą, że takiego człowieka dotknęła jakaś choroba i troszczą się o niego, aż uda mu się znaleźć drogę do lasu i uciec.

– Krewni chronią takich degeneratów?

– Bywa i tak. Nie mówi się o tym. Trudno jest odwrócić się plecami do człowieka, którego kochasz, nawet wtedy, gdy zaczyna się zmieniać.

Krasnolud patrzył na niego z niedowierzaniem, potem pokręcił głową.

– Zbyt łagodni – powiedział. – Zbyt łagodni.

Powietrze zamarło w bezruchu. Feliksowi wydawało się, że wyczuwa czyjąś poruszającą się między otaczającymi go drzewami obecność.

Zatrzymał się i wbił wzrok we mgłę w poszukiwaniu ruchomych cieni.

Spotkanie z napiętnowanym uświadomiło mu w pełni grozę sytuacji.

Narastał w nim wielki strach i wielki gniew. Po części gniew skierował na samego siebie – za to, że się bał. Czuł się chory i upokorzony. Postanowił,

– że cokolwiek się stanie, nigdy więcej nie powtórzy już tego błędu i nie wystawi się na śmierć jak bezrozumne zwierze.

– Co to jest? – zapytał Gotrek. Feliks spojrzał na niego. – Nie słyszysz?

Brzmi jak śpiew.

Feliks starał się wyłowić najsłabszy bodaj dźwięk, niczego jednak nie

słyszał.

Podążali dalej w milczeniu. Kiedy przebili się przez mgłę, Gotrek stał się jeszcze ostrożniejszy. Zszedł ze ścieżki i szukał schronienia w wysokiej trawie. Feliks podążył za nim. Teraz już słyszał ten śpiew. Dobywał się jakby z dziesiątków gardeł. Niektóre z głosów należały do ludzi, inne brzmiały jak zwierzęce. Słysząc było głosy kobiece i męskie, mieszające się z powolnym rytmem bębna, brzękiem cymbałów i bezładnym dźwiękiem kobz. Feliks rozpoznawał tylko jedno słowo, powtarzane bezustannie, tak że w końcu dotarło ono do jego świadomości. Brzmiało ono – Slaanesz. Przebiegł go dreszcz. Slaanesz – mroczny władca niewypowiedzianych rozkoszy. Imię przywodzące na myśl najgłębsze otchłanie zepsucia. Imię szeptane w narkotycznych spelunkach i domach rozpusty Altdorfu przez tych, którzy pyli na tyle zblazowani, że aktywnie szukali rozkoszy przechodzących możliwości ludzkiego zrozumienia. Imię związane z zepsuciem i występkiem, z najbardziej zwyrodniałą warstwą społeczeństwa Cesarstwa. Dla wyznawców Slaanesza nie było podniety, która budziłaby zdziwienie, żadna rozkosz nie była zakazana.

– Zasłania nas mgła – szepnął Feliks.

– Tss. Zachowuj się cicho. Musimy podejść bliżej.

Powoli posuwali się naprzód. Długa, wilgotna trawa przylepiała się do ciała i wkrótce Feliks był zupełnie przemoczony. Przed sobą widział płonące w mroku latarnie. Powietrze przepelniał zapach palącego się drewna i przenikliwa, mdląco-słodka woń kadzideł. Rozejrzał się dookoła w nadziei, że nie natknie się na nich żaden ze spóźnionych gości. Czuł się przeraźliwie odsłonięty.

Centymetr po centymetrze podpełzali coraz bliżej. Gotrek włókł za sobą

swój topór i w pewnym momencie palce Feliksa zetknęły się z jego ostrą jak brzytwa krawędzią. Skaleczył się paskudnie i tylko z najwyższym trudem zwalczył w sobie chęć głośnego jęku.

Dotarli do skraju wysokiej trawy i przyglądali się surowemu kręgowi złożonemu z sześciu obscenicznie ukształtowanych głazów, pośrodku których tkwiła monolityczna, płaska płyta. Kamienie lśniły zielonkawo światłem rozsiewanym przez luminoforyczne grzyby. Na szczycie każdego z nich umieszczono naczynie, z którego buchały kłęby gęstego dymu. Te piekielną scenerie oświetlały promienie bladego, zielonego światła księżyca. Wewnątrz kręgu tańczyło sześć zamaskowanych postaci ludzkich. Zarzucone na plecy długie płaszcze rozchylały się, obnażając ich ciała – męskie i kobiece. Każdy z tancerzy trzymał w jednej tece wybijające rytm kastaniety, w drugiej zaś pęk wierzbowych prętów, którymi chłostał tańczącego przed nim.

– Igrak tu amat Slaanesz – krzyczeli.

Feliks zauważył, że ciała kilku z nich naznaczone były świeżymi ranami, tancerze zdawali się jednak nie odczuwać bólu, zapewne wskutek narkotycznego działania kadzideł. Wokół kręgu zgromadziły się inne, budzące prawdziwą grozę postacie. Wysoki mężczyzna o głowie wołu i nogach zakończonych rozdwojonymi kopytami walił w bęben, obok niego rozsiadł się kobziarz z głową psa, którego palce zamiast paznokci miały przyssawki. W pobliżu nich tarzał się po ziemi tłum napiętnowanych mężczyzn i kobiet. Niektóre z ciał były jedynie lekko zniekształcone – wysocy mężczyźni z wąskimi, szpiczastymi głowami, grube, niskie, trójokie kobiety o trzech piersiach. Po innych z trudem tylko można było rozpoznać, że kiedyś byli ludźmi. Pokryci łuską ludzie-weże i porośnięte

futrem stworzenia o wilczych pyskach mieszały się ze stworami składającymi się wyłącznie z ust, zębów i innych otworów. Feliks niemal skamieniał, czuł narastające, dzikie przerażenie.

Bębny uderzały szybciej, rytmiczne zawrodozenie nabrało tempa, kobzy odezwały się jeszcze głośniejsze i jeszcze bardziej chaotycznie. Tancerze wpadli w szal, bicząc siebie samych i swoich towarzyszy. Na ich ciałach pojawiły się krwawe pręgi. Uderzyły cymbały, a potem nagle zapadła cisza.

Feliks pomyślał, że ich dostrzeżono i zamarł w pół ruchu. Dym kadzideł wypełnił jego nozdrza, polegając wrażliwość wszystkich zmysłów. Poczucił się bardzo daleki i całkowicie nie związany z rzeczywistością. Otrzeźwił go ból w boku. Po chwili uświadomił sobie, że to Gotrek wali go kułakiem w żebra. Krasnolud wskazywał na coś, co stało za kamiennym kręgiem. Feliks starał się przebić wzrokiem kłębiące się opary mgły. Wreszcie rozpoznał czarny powóz. W zapadłej nagle, szokującej ciszy usłyszał odgłos otwieranych drzwiczek. Wstrzymał oddech i czekał.

Z tumanu mgły wyłoniła się jakaś postać. Była wysoka, zamaskowana i odziana w plisowany, wielobarwny płaszcz. Poruszała się ze spokojną pewnością siebie, trzymając w ramionach coś owiniętego w brokat. Feliks spojrział na Gotreka, ale ten wpatrzony był w rozgrywającą się przed nim scenę z tak fanatycznym napięciem, że Feliks zastanawiał się, czy krasnoluda w tej ostatniej godzinie nie zawiodły siły psychiczne.

Nowo przybyły skierował kroki ku kamiennemu kręgowi.

– Amak tu amat Slaanesz – krzyknął, unosząc w górę trzymane zawiniątko. Feliks zobaczył, że było to dziecko, nie potrafił jednak stwierdzić żywe czy martwe.



– Igrak tu amat Slaanesz. Carkol taen amat Slaanesz ekstatycznie odpowiedział mu tłum.

Odziany w płaszcz człowiek wpatrywał się w otaczające go twarze. Feliks miał wrażenie, że obcy patrzy wprost na niego swoimi spokojnymi, brązowymi oczami. Zastanawiał się, czy przypadkiem mistrz sabatu nie wie o nich i nie bawi się ich kosztem.

– Amak tu Slaanesz – znów czysty głos mistrza.

– Amak klessa. Amak Slaanesz – odpowiedział tłum. Stało się jasne, że rozpoczął się jakiś rytuał. W miarę jego trwania mistrz sabatu zbliżał się do ołtarza, powolnymi, ceremonialnymi krokami. Feliks czuł suchość w ustach. Oblizął wargi. Gotrek wpatrywał się w rozwój wydarzeń jak zahipnotyzowany.

Dziecko ułożono na ołtarzu przy akompaniamencie grzmiącego warkotu bębnów. Sześcioro tancerzy stało teraz obok ołtarza w pełnym rozkroku. W miarę trwania obrzędu powoli pochylali się nad nim coraz niżej. Nagle mistrz ceremonii gdzieś z fałdów swojej szaty wy dobył długi nóż o falistym ostrzu. Feliks zastanawiał się czy krasnolud ma w ogóle zamiar coś zrobić. On sam z ledwością mógł na to wszystko patrzeć.

Powoli nóż uniósł się w górę, wysoko ponad głowę kapłana. Feliks zmusił się, by to oglądać. Nad całą scenerią wyraźnie dominowała czyjaś złowieszcza obecność. Mgła i dym z kadzideł wydawały się mieszać ze sobą i krzepnąć. Feliks był pewien, że wewnątrz tego obłoku zaczyna się materializować wijąca się, groteskowa postać. Nie był w stanie dłużej wytrzymać napięcia.

– Nie! – krzyknął.

Feliks i Zabójca Trolli wynurzyli się z trawy i ramię przy ramieniu

pomaszerowali w stronę kamiennego kręgu. Z początku biorący udział w obrzędzie zdawali się ich nie dostrzegać, lecz po chwili bicie w bęben ustało, umilkł śpiew, a kapłan odwrócił się w ich stronę, spoglądając w osłupieniu. Przez chwilę wszyscy gapili się na nich bezmyślnie. Wreszcie kapłan wyciągnął w ich stronę nóż i krzyknął – Zabić świętokradców! Uczestnicy orgii runęli na nich falą. Feliks poczuł, że coś szarpnęło go za nogę. Po chwili poczuł ostry ból. Jakieś stworzenie, półkobieta – półwąż, wpiło mu się w łydkę. Kopnął potężnie, uwalniając nogę i pchnął mieczem leżącą na ziemi istotę. Ręka zadrżała, gdy ostrze dosięgnęło kości. Ruszył biegiem w ślad za Gotrekiem, który wyrąbywał sobie drogę do ołtarza. Potężny, podwójny topór wznosił się i opadał rytmicznie, pozostawiając za sobą pasmo okrwawionych szczątków. Czyciele Slaanesza byli znarkotyzowani, reagowali wolno, ale na nieszczęście obce było im uczucie strachu. Mężczyźni i kobiety, napiętnowani i nie napiętnowani rzucali się na intruzów zupełnie nie dbając o swe życie. Feliks rąbał i kłuł wszystko, co zbliżało się do niego. Wpakował ostrze miecza pod żebro psiogłowca, który na niego skoczył. W chwili, gdy chciał wyciągnąć je z powrotem, został napadnięty przez kobietę o długich szponach i pokrytego śluzowatą skórą mężczyznę. Ich ciężar przygniótł go do ziemi i pozbawił na chwilę tchu. Poczuł, że szpony kobiety rozdzierają mu twarz. Wymierzył jej potężnego kopniaka w brzuch, odrzucając daleko od siebie. Krew, spływająca ze zranionego czoła, zalewała mu oczy. Mężczyzna upadł, lecz w dalszym ciągu próbował chwycić go za gardło. Feliks zacisnął prawą dłoń na jego krtani, lewą usiłował dobyć sztyletu. Mężczyzna wił się jak piskorz, pokrywająca go powłoka śluzu utrudniała pewny chwyt. Jego ręce zbliżały się bezlitośnie do gardła Feliksa, on sam

zaś ocierał się o niego, dysząc z rozkoszy. Poetę zaczęła ogarniać ciemność, przed oczyma migały mu srebrzyste plamki i czuł coraz większą ochotę, by spocząć i zanurzyć się w czarną otchłań. Gdzieś z oddali dobiegł go wojenny okrzyk Gotreka. Ostatnim wysiłkiem woli wyszarpnął sztylet i wbił go pod żebra napastnika. Stwór skrzywił się, ukazując rząd rybich zębów. Umierając jęczał w ekstazie.

– Przyjmij mnie na swe łono, Slaaneszu. Och ból, cudowny ból.

Większość czcicieli atakowała Gotreka i to uratowało Feliksowi życie. Krasnolud usiłował wyrąbać sobie drogę do centrum kamiennego kręgu. Poruszał się jeszcze, ale ciężar napierających ciał przygniatał go powoli do ziemi. Krew spływała z dziesiątków małych ran. Ciągłe jeszcze okrutna energia krasnoluda stwarzała przerażające widowisko. Toczył pianę z ust i mamrotał coś do siebie, rąbiąc zaciekle i rozrzucając na wszystkie strony odcięte głowy, nogi i ręce. Od stóp do głów był pokryty warstwą brudnej, zakrzepłej krwi, jednakże mimo jego szaleńczej odwagi Feliks wiedział, że szala zwycięstwa w tej walce przechyla się na niekorzyść Gotreka. W tym właśnie momencie jeden z odzianych w płaszczy tancerzy zdzielił krasnoluda maczugą i Gotrek padł pod zbitą masą napierających ciał. Spotkał swoje przeznaczenie – pomyślał Feliks – dokładnie tak, jak tego pragnął.

Z dala od zgiełku walki mistrz ceremonii odzyskał zimną krew. Raz jeszcze zaintonował zaśpiew i uniósł swój sztylet. Ohydny sylwetka uformowana ze strzępów mgły zaczęła kształtować się ponownie. Feliks miał świadomość, że jeśli przybierze ona ostateczną postać, on również będzie skazany na zagładę. Nie był jednak w stanie przebić się przez bezlik otaczających Zabójcę Trolli ciał. Przez dłuższą chwilę przyglądał

się sztyletowi o długim ostrzu, od którego odbijały się promienie Morrslleiba. Wreszcie dobył własnego sztyletu.

– Niech Sigmar kieruje mą ręką – szepnął i cisnął ostrze, które pewnie przebiło gardło Najwyższego Kapłana, trafiając go w odsłonięte miejsce tuż poniżej maski. Ranny charcząc runął do tyłu.

Przeciągły jęk zawodu przeszył powietrze i obłok mgły rozpląnął się bez śladu, a wraz z nim widoczna w jego wnętrzu sylwetka. Czcciele przyglądali się temu w osłupieniu, po czym zwrócili wzrok na Feliksa. Skupiło się na nim uporczywe spojrzenie dziesiątek par nieprzyjaznych oczu. Feliks stał w bezruchu, przerażony. Zapadła martwa cisza. Przerwał ją potężny ryk i spod stosu ciał wynurzył się Gotrek. Schylił się i wydobył skądś swój topór. Feliks ruszył mu na pomoc. Wyrąbali drogę do siebie i stanęli ramię przy ramieniu.

Czcciele Slaanesza, przygnębieni stratą przywódcy, zaczęli bezładnie uciekać w noc i mgłę. Po chwili Feliks i Gotrek stali już samotnie w cieniu Kręgu Czarnego Kamienia. Zakrwawiony Gotrek spojrzał na Feliksa z wyrzutem. W upiornej poświacie sam wyglądał jak demon.

– Pozbawiłeś mnie pięknej śmierci, człowieku. Machnął groźnie toporem. Feliks zastanawiał się, czy Gotrek w dalszym ciągu jest w szale bitewnym i czy ma zamiar, mimo wiążącej ich przysięgi, z rozpędu zarębać i jego. Krasnolud zbliżył się powoli. Usta wykrzywił mu uśmiech.

– Wygląda na to, że bogowie zdecydowali się na razie zachować mnie dla jeszcze wspanialszego zadania. Wbił drzewce topora w ziemię i zaniósł się gromkim śmiechem, aż łzy popłynęły mu po twarzy. Wyczerpawszy zapas śmiechu, odwrócił się, podszedł do ołtarza i zdjął z niego dziecko. – Żyje – oznajmił.

Feliks zaczął oglądać trupy tancerzy i zdejmować z nich maski. Pierwsze zwłoki były pokrytym sińcami i ranami ciałem jasnowłosej dziewczyny. Obok leżał trup młodego mężczyzny z amuletem w kształcie młota zawieszonym na szyi jakby na pośmiewisko.

– Nie sądzę, byśmy mieli po co wracać do gospody powiedział ze smutkiem Feliks.

Jedna z miejscowych opowieści mówi o dziecku znalezionym na schodach świątyni Szalia w Blutroch. Było ono owinięte w okrwawiony płaszcz z sudenlandzkiej wełny. Obok leżała garść złota, a na szyi dziecka wisiał stalowy amulet w kształcie młota. Kapłanka przysięga, że widziała oddalający się z hałasem czarny pojazd.

Mieszkańcy Blutroch opowiadają jeszcze inną, bardziej ponurą historię o tym, jak Ingrid Hauptmann i Gunter, syn karczmarza, zostali zabici w ofierze Siłom Ciemności. Strażnicy drogowi, którzy odnaleźli zwłoki przy Kręgu Czarnego Kamienia potwierdzają, że musiał to być jakiś wyjątkowo makabryczny obrządek. Zwłoki wyglądały tak, jakby ktoś toporem porąbał je na kawałki.